



**MIĘDZYSZKOLNY KONKURS  
LITERACKI I PLASTYCZNY  
„JA – ZWIERZĘ”**

**Warszawa 2016**

**Wydawca:**

Zespół Szkół nr 60  
ul. S. Sempołowskiej 4  
00-574 Warszawa

**Korekta:**

*Elżbieta Podlipska*  
*Monika Michowska*

**Wstęp:**

*Krystyna Inowolska*

**Opracowanie techniczne:**

*Monika Bednarska*

Wstęp.

„Zwierzę na dobry humor”... Niby prosty temat, a jednak okazał się wcale nie taki łatwy. Częściej potrafimy powiedzieć, co my robimy dla zwierzęcia, niż co ono daje nam. Każdy wie, że pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, ale dlaczego? Oczywiście są psy przewodnicy, psy policyjne. Prowadzone są hipo- i dogoterapia. Ale co takiego daje nam nasz, nie zawsze najmądrzejszy, pupil, który skacze, brudzi, drapie, niszczy meble, wszędzie zostawia kłaki? Cóż - po prostu daje nam radość i robi to całkowicie bezinteresownie.

Teksty zamieszczone w zbiorze świadczą o tym, że dostrzegacie i docenicie rolę, jaką zwierzęta pełnią w naszym życiu.

Dziękuję w imieniu naszych braci mniejszych i obyśmy stanowili coraz liczniejszą grupę.

Organizatorzy konkursu:  
Monika Bednarska  
Krystyna Inowolska  
Elżbieta Podlipska  
Iwona Dobrzyniecka

***Zwierzę na dobry humor***

Powoli, ale natarczywie, promienie zachodzącego słońca zaatakowały moje zamknięte powieki. Było ciepłe popołudnie. Wylegiwałem się na tarasie, zatopiony w graniu otaczającej mnie przyrody. Chyba zaliczyłem drzemkę, z której wyrwał mnie niepasujący do otoczenia dźwięk. Przez cichy szum wiatru i delikatne dzwonienie skowronków moje uszy zarejestrowały warczenie. Było ciche i niegroźne, dawało się w nim jednak wyczuć niemal nieuchwytną zmianę nastroju, jakby właściciel tego głosu borykał się z jakimś problemem. Warczenie stawało się coraz bardziej natarczywe i głośnie, ale nie wyczuwałem w nim agresji. W momencie gdy dołączyło do niego popiskiwanie i jakby szczeniące poszczekiwanie, nie wytrzymałem.

Uchyliłem powieki i oślepiony słońcem próbowałem zlokalizować źródło tych dźwięków. Udało mi się namierzyć kierunek, skąd dochodziło poszczekiwanie, ale z leżaka niewiele mogłem dostrzec. Wygramoliłem się z wygodnego siedziska, rozprostowałem zdrętwiałe nogi i ręce, jednocześnie rozglądając się dookoła. Nic jednak nie przykuło mojej uwagi. Czuję się coraz bardziej zirytowany. Gotów do stawienia czoła wszelkim niebezpieczeństwom, uzbrojony w klapkę na muchy, ruszyłem powoli w stronę narożnika domu mojej babci, u której wraz z młodszym bratem spędzałem tegoroczne wakacje. Napięcie rosło z każdym krokiem. Pochyliłem się nieco i niczym prawdziwy komandos podbiegłem do ściany budynku. Powoli zajrzałem za róg. Nic, żadnego ruchu. Zawiedziony, ale jeszcze bardziej podekscytowany, zacząłem skradać się do następnego narożnika. W połowie drogi zauważyłem coś czarnego schowanego za kamieniem wielkości piłki do koszykówki. Spod głazu co chwila wyskakiwały strugi ziemi, piachu i kępek trawy. Rzuciłem się na ziemię. Bardzo ostrożnie, nie robiąc hałasu, zacząłem czołgać się w kierunku bestii. Gdy od głazu dzieliły mnie już tylko dwa metry, nad kamieniem pojawił się czarny, mokry, umorusany brązową ziemią pysk Pajdy, która w tej chwili powinna być w Warszawie i spacerować po trawnikach Błoni Wilanowskich. Zaskoczył mnie ten widok na tyle, że nie byłem w stanie zareagować, gdy kudłata, ubłocona masa zwała się na mnie, liżąc zapiaszczonym językiem po twarzy. Wtedy zauważyłem również nasz samochód stojący za płotem - to

przyjechali nasi rodzice. Podniosłem się z ziemi i rozejrzałem wokół. Psinka biegła wokół mnie, robiąc sobie przerwy na próbę poruszenia głazu. Podkopywała go ze wszystkich stron. Gdy już się zmęczyła kopaniem, próbowała przetoczyć go nosem i nakłonić lizaniem do poruszenia się. Ten jednak trwał niezłomnie wśród innych większych i mniejszych kamieni oddzielających trawnik od grządki z niezapominajkami. Wtedy zauważyłem, że po całym zrytym pazurami trawniku przed domem porozwlekane są inne mokre otoczaki. Postanowiłem szybko poukładać je na swoich miejscach w murku rabaty, żeby babcia nie zauważyła tej dewastacji. Pajda oczywiście uznała to za świetną zabawę i wrywała coraz to nowe kamienie, przeciągając je w różne miejsca trawnika, jakby chciała stworzyć jakiś abstrakcyjny obraz. Mniejsze kamyki nosiła w pysku, inne toczyła nosem albo ciągnęła przednimi łapami. Rozśmieszała mnie, a jednocześnie czułem się poirytowany. Zaczęłem uganiać się za nią, żeby odebrać jej otoczaki. Pajda okazała się jednak sprytniejsza, przemykała pod moimi nogami, zawracając gwałtownie i omijając moje ręce o milimetry. W pewnym momencie potknąłem się i jak długi zaryłem twarzą w trawnik. Pajda usiadła naprzeciwko, położyła kamień przed sobą gotowa zabrać go z szybkością błyskawicy i świdrowała mnie swoimi czarnymi jak węgle ślepiami. Podjąłem jeszcze jedną próbę odzyskania kamyka, skacząc jak żaba przed siebie. Bez powodzenia. Wtedy usłyszałem śmiech mojego brata Ignacego, który pokładał się na ganku, zaciskając ręce na brzuchu. Byłem na niego zły, ale gdy wyobraziłem sobie, jak komicznie muszę wyglądać w takiej pozycji i na dodatek cały brudny, zeszło ze mnie całe napięcie. Turlając się w trawie, również się śmiałem, a Pajda donosiła mi co i rusz jakiś nowy, mniejszy głazik. Po jakimś czasie, gdy dołączyła do nas kotka babci, Pajda straciła całe swoje zainteresowanie wytworami ziemi i zaczęła uganiać się za kocicą, która, nie pozostając dłużną, próbowała zapolować na krótki ogon Pajdy. Wspólnie z Ignacym, ścierającym z twarzy łzy radości, poukładaliśmy z powrotem na swoich miejscach wszystkie kamienie i wróciliśmy do domu.

Rodzice z babcią siedzieli na sofie, pili kawę i oglądali w telewizorze kolejny odcinek „Singielki”. Skorzystałem z tego, że nie zwracają na nas uwagi, wskoczyłem pod prysznic i po chwili czysty i pachnący przywitałem się z nimi. Przy kolacji opowiedziałem wszystkim moją szpiegowską przygodę. Dobry humor nie opuszczał nas aż do późnych godzin wieczornych. Jedyne Pajda leżała smętna w kącie, próbując wylizać sobie rany i zadrapania na nosie.

**II miejsce**  
**Michalina Kopertowska**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

Po kilku ciężkich latach pracy w korporacji wreszcie nastał ten dzień. Mąż od rana chodził zestresowany, krzątając się po domu. Czuł ucisk w żołądku, nie chciał nic jeść ani nic robić. Po prostu siedział w swoim ulubionym fotelu i rozmyślał. Wizja, że coś może nie pójść po jego myśli w tak ważny dzień, cały czas siedziała mu w głowie. Układał sobie czarne scenariusze i obawiał się najgorszego. Tak, to dziś. Dziś najważniejsza osoba w całej wielkiej firmie, w której pracuje Roman, ma przyjść do niego z wizytą wraz ze swoją żoną. Bardzo eleganccy ludzie, którzy są dobrze wychowani i poukładani. On, niezwykle bogaty szef wielkiej korporacji, który jeździ najlepszymi samochodami, ubiera się z klasą, opanowany i spokojny. Ona - zawsze potrafi się zachować, kupuje u najlepszych projektantów. Punktualni, potrafią zrobić wrażenie na każdym. Wydaje się, że ich życie zostało zaplanowane w najmniejszym szczególe, są wręcz idealni. Natomiast rodzina Romana zupełnie się od nich różni. Panuje w niej ciągły chaos. Dwójka nastoletnich dzieci, które się ciągle ze sobą kłócą i dogryzają sobie na każdym kroku. Żona Monika – bardzo sympatyczna i z dobrym sercem, jednak nieuważna i chaotyczna. Roman trochę niezdarny, ale zawsze stara się wyjść z każdej opresji. Na czele rodziny stoi wielki owczarek niemiecki - Jacek. Zapanował nad całym domem, a najbardziej uwielbia leżeć na fotelu Romana. Dziś jednak to sobie odpuścił, bo zauważył, że sytuacja w domu nie należy do codziennych. Zadowolony biega po dużym, zielonym ogrodzie i bawi się swoją piłką. Pogoda dopisuje i słońce ogrzewa jego futro. Widać, że jest naprawdę szczęśliwy, czego nie można powiedzieć o reszcie domowników; są bardzo spięci i w wielkim stresie starają się jakoś uporać z przytłaczającą sytuacją. Większość rzeczy jest już gotowa, ale wszystko musi być dopięte na ostatni guzik, dlatego domownicy sprawdzają, czy można jeszcze coś zrobić, coś dodać, aby ulepszyć obiad.

W salonie stoi duży stół nakryty śnieżnobiałym obrusem. Najlepsza porcelanowa zastawa i idealnie lśniące sztuczne pożyczone od sąsiadki. Wyśmienite potrawy z przepisu koleżanki Moniki, która zna się na rzeczy i wie, jak zadowolić nawet największego smakosza. W końcu sama jest teraz na Malediwach i zajada się kawiozem moczonym w szampanie i białymi trufkami. A to wszystko ozdobione tulipanami w odcieniu jasnego różu świeżo ściętymi z ogródka. Ogólnie mówiąc, sytuacja jest niecodzienna. Kowalscy ubrali się adekwatnie do sytuacji – bardzo odświętnie. Nawet syn, który na co dzień

chodzi w spodniach dresowych i bluzach z kapturem, dziś jest piękny i pachnący w białej koszuli z krawatem w odcieniu pudrowego różu. Długo protestował, ale został zmuszony do jego założenia. Monika wymyśliła, że każda osoba ma mieć w swoim ubiorze jakiś różowy akcent. Dla przykładu, Roman założył zniechęcone spinki do mankietów w tym właśnie kolorze, które dostał od swojej teściowej, co potęgowało nienawiść do owych spinek. Nie miał wyjścia, w końcu wszystko ma wyglądać na idealne, mimo że w rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

Rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. Tak, to spodziewani goście. Jest już za późno na jakiegokolwiek zmiany. Roman wraz z rodziną stoją przed drzwiami, a szef z żoną, wyglądając nie gorzej niż królewska para, przekraczają próg domu Kowalskich. Witają się z gospodarzami i komplementują wszystkie napotkane przedmioty znajdujące się pomiędzy korytarzem a salonem. „Jaki piękny wazon”, „Cudowna półka”, „Świetne lustro” – wszystko było perfekcyjne.

Działając w takim pośpiechu, rodzina zapomniała tylko o Jacku. Pies znudzony bieganiem po ogrodzie skorzystał z chwili spokoju, gdy domownicy byli zajęci gośćmi w korytarzu. Cały w błocie chodził po salonie, lecz nagle zauważył coś pięknego: soczystego indyka z chrupiącą skórą skrytego wśród kwiecia. Instynkt i chęć zdobycia tego przysmaku były silniejsze od niego. Niezgrabnie wskoczył na krzesło, a z krzesła udał się na stół. Zdążył zdemolować większość rzeczy, które się na nim znajdowały, i dotarł do celu, bardzo przy tym hałasując. Goście i rodzina byli zbyt zajęci sobą, żeby usłyszeć psa. Wreszcie weszli do salonu i zobaczyli Jacka w najlepsze zajadającego się indykiem. Na podłodze leżały popękane naczynia i resztki jedzenia. Roman w pierwszej chwili prawie się popłakał, jednak po krótkim namyśle stwierdził, że nie będzie się tym wcale przejmował, bo już gorzej być nie może. Jednak nie miał racji. Pies, z natury bardzo towarzyski i uwielbiający nowych ludzi, rzucił się z ubłoconymi łapami na żonę szefa. Beżowa suknia od znanego projektanta była cała ozdobiona różnej wielkości plamami. Kobieta zaczęła się śmiać, a zaraz potem dołączyła do niej reszta zebranych. W luźnej atmosferze posprzątali salon i próbowali uratować niektóre potrawy. Potem wyszli do ogrodu, gdzie zjedli frytki i na szybko przyrządzone sałatki.

- Panie Romanie, dziś mi pan niezwykle zaimponował – powiedział szef. – Mimo takiej sytuacji zachował się pan bardzo spokojnie i uratował obiad. Mianuję pana menadżerem naszej firmy. Gratuluję.

Do rozmowy wtrąciła się jeszcze żona:

- Frytki nigdy nie smakowały mi tak dobrze. To chyba przez to, że są jedzone w państwa towarzystwie. Następnym razem zapraszamy na obiad do nas.

Tak oto Jacek rozluźnił napiętą atmosferę panującą w domu. Wydaje się nawet, że wyszło lepiej niż było to planowane ze względu na jedną rzecz - nie było udawane i sztuczne. Rodziny zaprzyjaźniły się ze sobą i od teraz w każdą niedzielę przygotowują wspólne obiady w swoich domach.

**III miejsce**  
**Michał Słodownik**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

***Opowieść pchły***

Zwierzęta dają radość – nie tylko ludziom. Nazywam się Adela, a dwa żebra niżej mieszka Samanta. Zapytacie się pewnie, dlaczego żebra? Otóż mieszkamy na psie, Burku, rasy labrador. My natomiast jesteśmy pchłami. Małymi, niepozornymi pchłami. Pan Burka, pan profesor Tomasz Jazgot, jest laryngologiem, ale cały wolny czas poświęca swojemu psu. Obaj są przyjaciółmi, ale niestety nas nie lubią. Chociaż staramy się być najmniej uciążliwymi mieszkańcami sierści Burka; nie gryziemy go tak mocno i często, zawsze po sobie sprzątamy i nie przeszkadzamy mu w nocy, ale i tak zarówno Burek, jak i pan Tomasz usiłują się nas pozbyć na różne sposoby. Najgorsza jest dla nas kąpiel z domieszką środków owadobójczych. Jak ten szampon gryzie w oczy! Jaki on jest gorzki! TFU! A kąpiemy się po każdej wizycie na placu zabaw. Wizyta tam jest doskonałą okazją do poznania innych pcheł i ich nosicieli. Wymieniamy wtedy ploteczki i inne nowinki. Czasem jednak naszego psa głaszczą obce ręce innych ludzi i robią to tak mocno, że ześlizgujemy się do samego ogona! Kiedyś jedna z naszych koleżanek, Lucyna, spadła ze swojego psa i na nowego czekała ponad tydzień! Często podczas spacerów pan Tomasz rzuca kijek, każąc Burkowi aportować. Nie jesteśmy wielkimi fankami tego sportu, gdyż często pies zaczyna kręcić się niecierpliwie, czekając na kijek, co przygotowuje nas o zawroty głowy.

Czasami formułujemy nasze potrzeby i przekazujemy je przez Burka do pana Tomasza. Kiedy jesteśmy głodne, wystarczy ugryźć Burka pod żebrem, a ten wtedy tak piszczy, że nowa porcja karmy natychmiast ląduje w misce. Gdy nudzimy się i mamy ochotę na spacer, gryziemy Burka w łapy, a wtedy pan Tomasz wie, co należy zrobić. Gdy na przykład mamy ochotę na orzeźwiająca kąpiel w wodzie bez dodatku środka owadobójczego, zwołujemy wszystkie pchły do jednego miejsca, tworząc iluzję brudu, na który pan Tomasz



znajduje sensowne rozwiązanie, którym jest kąpiel w rzece płynącej niedaleko naszego osiedla.

Moja koleżanka Samanta mieszka już na Burku od półtora roku i jest o wiele bardziej doświadczona w relacjach oraz doskonale zna wszystkie jego przyzwyczajenia. Ja, młodsza koleżanka, mieszkam tu od niedawna i wciąż wiele rzeczy mnie zaskakuje. Burek jest dość leniwy i mało się rusza, nie to co mój poprzedni pies. Gdy Reksio, wesoły dalmatyńczyk, zaczynał machać ogonem, trzeba było trzymać się rękami i nogami, by nie spaść! Jak skakał do wody, to i my musiałyśmy wstrzymywać oddech. Ale i tak lubię naszego Burka. Jako że sam Burek jest leniwy, my też nie musimy specjalnie się gimnastykować, żeby przeżyć. Burek jest wielkim miłośnikiem opalania się na słońcu, za czym i my bardzo przepadamy. Naszą ulubioną kryjówką przed wszędobylskimi palcami pana Tomasza są okolice szyi, bo rzadko sprawdza to miejsce, a dodatkowo sam Burek tam nie sięga swymi kłami. W naszym rankingu ulubionych psów z całego osiedla do zamieszkania Burek zajmuje najwyższe miejsce i wiele psów udaje się tam na krótkie wakacje albo na stały pobyt. Mieszkanie na Burku byłoby bardzo miłe, gdyby nie narastający tłok. Inne psy współczują Burkowi tej popularności, ale jednocześnie zazdroszczą mu, że same mają pustostany, gdy Burek przeżywa prawdziwe oblężenie.

Jak widać nie zawsze tylko człowiek czerpie radość z posiadania pupila, którym może się opiekować i z którym się może bawić, ale także inne zwierzęta czerpią radość z faktu, że ludzie opiekują się swoimi zwierzętami, dając im warunki do przetrwania.

## **Wyróżnienie**

**Alicha Piechal**

**Gimnazjum nr 117**

**Warszawa**

## ***Tajemnicza sprawa***

Rajmund Nibywasik oddawał się relaksującej wieczornej kąpeli, gdy usłyszał niesłychanie głośne i niecierpliwe pukanie do drzwi. Z pomrukiem niezadowolenia nasz bohater udał się w kierunku źródła hałasu. W pośpiechu zapiał koszulę, naciągnął spodnie, pomijając, niestety, szelki. Mijając lustro, przyglądał swe bujne bokobrody. Wspomniane bokobrody, koloru ognistego chili, były jego największym powodem do dumy. Po dotarciu do głównej sali wejściowej apartamentu usytuowanego przy ulicy Przykucej, znajdującej się w ścisłym centrum Pąkopucka Wielkiego, Rajmund zerknął przez wizjer

w drzwiach, aby ujrzeć twarz swego dawnego współpracownika, Melchiora Krzykoczołka. Historia ich znajomości była burzliwa i skupiała się głównie na rozwiązywaniu wszelkiego rodzaju tajemnic. Te doświadczenia umożliwiły Rajmundowi Nibywaśnikowi zostanie detektywem. Wizyta ta, choć niespodziewana, wywołała uczucie wielkiego podekscytowania w naszym bohaterze. Obecność niespodziewanego gościa o zwyczajnie nieprzyzwoitej porze mogła świadczyć tylko i wyłącznie o tajemnicy. Wpuściwszy gościa do głównej sali wejściowej, Rajmund zapytał:

- Drogi przyjacielu, co sprowadza cię do mojej skromnej hacjendy?
- Moja wizyta spowodowana jest zdarzeniem niebywałym! Czy słyszał pan o prywatnym zoo doktora Pachnipaszka? Otóż zdaje się, że pewien nikczemny osobnik dopuszcza się kradzieży w tym właśnie obiekcie.
- Niech to dunder świśnie! Taka zbrodnia wymaga natychmiastowej interwencji. Pozwolisz, przyjacielu, że przyglądnę me bokobrody i założę wieczorowy smoking.

Z tymi słowami Rajmund żwawym truchtem udał się na piętro apartamentu. Po upływie godziny, chociaż dla naszego bohatera zdawało się to być nie więcej niż sześć i pół minuty, obaj panowie byli gotowi do wyjścia, wyposażeni w szkło powiększające i czapkę klasycznego kroju, ozdobioną ciasną kratką na beżowym tle, jak na prawdziwych detektywów przystało. Po dotarciu do prywatnego zoo doktora Pachnipaszka panowie rozpoczęli poszukiwanie wszelkiego rodzaju poszlak. Godzinę później sporządzali spis wszystkich zauważonych odstępstw od normy. Klatki zwierząt mięsożernych zdawały się być w stanie nienaruszonym. Wybiegi wszystkich roślinożerców były jednak splądrowane. Jedzenie i ich zabawki zniknęły, klatki pozostały zamknięte, a jedyną osobą posiadającą klucze był nocny strażnik pan Kleszczopchelka. Z braku wystarczających dowodów panowie nie byli w stanie rozwiązać tej zagadki i postanowili pozostać na miejscu zbrodni, aby złapać złodzieja na gorącym uczynku. Oczekiwanie znużyło naszych detektywów, pan Melchior pochrapywał lekko, swoim oddechem mierzwiąc bokobrody pana Nibywaśnika. Ich błogi sen został przerwany przez głośny huk. Panowie ocknęli się, zupełnie oszołomieni, wzrokiem poszukując źródła hałasu. Pomimo szczerych chęci nie udało im się zlokalizować domniemanego złodzieja, lecz ustalili, iż banany przygotowane na poranne karmienie szympansa zniknęły z pomieszczenia roboczego. Nasz bohater był w kropce. „Jakim motywem kieruje się ten parszywy kryminalista? Czemu kradnie banany z prywatnego zoo zamiast ze straganu na rogu ulicy?” Zdawało się, że nie ma logicznego wytłumaczenia zachowania bandyty. Jednak panowie zdecydowali się obejść zoo po raz kolejny w poszukiwaniu poszlak. Aby zwiększyć wydajność swoich

poszukiwań, rozdzielili się. Rajmund Nibywąsik odważnie kroczył między klatkami zamieszkanymi przez niespokojne tygrysy i krwiożercze żółwie. Poszukiwania zdawały się być bezowocne, lecz jego sokoli wzrok pozwolił mu dostrzec ruch w ciemnej alejce. Niestety nie był w stanie złapać złodzieja uciekającego z naręczem bananów, udało mu się jednak zauważyć, że rabuś ubrany jest w strój w czarno szare pasy, a jego oczy zakryte są czarną maską, jak na bandytę przystało. Mając pewność, że bezczelny złoczyńca jest sprawcą zaginięć pokarmu w prywatnym zoo doktora Pachnipaszka, detektywi postanowili złapać rabusia. W tym celu zastawili pułapkę. Na czerwonym kocu zabranym z pomieszczenia gospodarczego została położona ćwiartka arbuza, nad nią znalazło się ogromne pudło, podparte patykami, przewiązanym sznurkiem, którego koniec znajdował się w dłoni pana Melchiora. Detektywi skryli się w krzakach, chichocząc z podekscytowania. Kolejny raz oczekiwanie na rozwój wydarzeń ogromnie ich znudziło, gdy nagle usłyszeli głośne chrobotanie. Panowie poderwali się na nogi w rekordowym tempie, aby zobaczyć, że udało im się złapać złodzieja. Wspólnie unieśli koc, aby nie pozwolić złoczyńcy uciec, i zanieśli zmumifikowanego rabusia do zamkniętego pomieszczenia gospodarczego. Obaj detektywi byli ogromnie podekscytowani i niecierpliwi, aby poznać tożsamość zoologicznego bandyty. Jakież było ich zdziwienie, gdy z koca wyplątał się szop prac, wesoło zajadający arbuza.

## **Wyróżnienie**

**Krystyna Konopacka**

**Szkoła Podstawowa nr 48**

**Warszawa**

### ***Chomik – mały komik***

Chomiczki to malutkie i śmieszne stworki,

Gdy chcą się najeść – napęlniają swoje worki.

Po obu stronach pyszczka one im zwisają

I wręcz nieprawdopodobne rozmiary osiągają.

Te śmieszne chomicze woreczki, to jak spiżarnia,

Do której pakują kawałki jedzonka i ziarna.

Lubią kukurydzę, ogórki, marchew, arbuza i jabłuszka,

Od czasu do czasu dobra jest śliwka lub gruszka.

Szybko do swych worków przysmaki ładują,  
A potem w kąciku swego domostwa wypluwają i zakopują.  
Można by rzec po prostu, że robią zapasy,  
Na teraz, na potem, a nuż przyjdą gorsze czasy.  
Pyszczek i uszka mają malutkie, oczka okrągłuśkie,  
Tycie są ich łapeczki i stopki, a futerko miluśkie.  
Jego brzuszek okrągłutki, a waga piórkowa,  
Z tyłu tyci ogonek i kuperek, a z przodu jest głowa.  
W dzień lubi sobie pojeść i pospać, zaś w nocy – sport go nęci:  
Wskakuje więc na bieżnię i karuzelą kręci.  
Mimo że taki malutki, biega bardzo szybko -  
Mógłby zmierzyć się w maratonie z niejedną rybką.  
Ceni sobie porządek i często się myje,  
Najpierw swoje łapki, potem brzuszek i szyję.  
W jednym rogu klatki – toaleta, w drugim zaś spiżarnia  
W domku sobie sypia, a schodki i karuzela to - bawialnia.  
Gdy biorę go na ręce i głaszczę po grzbiecie,  
Jest zadowolony, i powiem Wam w sekrecie,  
Że mając takie małe zwierzątko – dużo radości w tym znajdziecie.  
Bo czy nie jest fajne, że w takim małym zwierzątku  
Jest rozumek, dużo czułości, przyzwyczajenie do porządku?  
Wiedzieć, co ono lubi, jakie są jego zwyczaje?  
A najbardziej lubię, gdy na łapkach słupka staje.  
Nasłuchuje, co się doń mówi, co się wokół dzieje  
I że dostanie smakołyk - ma cichą nadzieję.  
Ja swego chomiczka nazwałam ORZESZEK  
Cały jest beżowy, a na grzbiecie ma brązowy meszek.

**Wyróżnienie**  
**Monika Bilska**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

Co dzień rano z mego łóżka  
Zwisają jego małe uszka.  
Kiedy rano budzę się  
Zawsze siedzi obok mnie  
Tego ranka też tak było.  
Choć coś jeszcze się zdarzyło  
Urodziny - dzień wesoły  
Lecz nie idę dziś do szkoły  
Leżę w łóżku i choruję  
Nikt dziś mną się nie zajmuje.  
Nawet pies mnie też zostawił  
Długo w domu nie zabawił.  
Pewnie miał tam ważne sprawy  
Ciekawsze niż ze mną zabawy  
W łóżku sama siedzieć muszę  
A to trapi moją duszę  
Godziny lecą, minuty mijają  
Za oknem tylko ptaki śpiewają  
Siedzę na łóżku, coś sobie rysuję.  
Nagle tę ciszę mój szczeniak rujnuje.  
Siada przy mnie i trzyma coś w pysku  
Nie wydając nawet pisku.  
Przyniósł kotlet od sąsiadki;  
Na złodzieja ma zadatki.  
cóż mogę pomyśleć o tym kotlecie?  
Toż to najlepszy prezent na świecie.

Prezent od mojej wiernej psiny  
Poprawił mi humor w smutne urodziny.

**Wyróżnienie**  
**Magdalena Rutkowska**  
**Szkoła Podstawowa nr 203**  
**Warszawa**

### ***Zwierzę na dobry humor***

Moja historia ze zwierzęciem rozpoczęła się, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. Znam ją z opowieści rodziców i filmu, który nakręcił tata.

Miałam niespełna miesiąc, gdy rodzice zabrali mnie do babci Krysi i dziadka Ryśka.

Z moimi dziadkami mieszkała jamniczka, która wabiła się Pysia. Mama bardzo martwiła się, jak zareaguje pupilka na nowego członka rodziny.

Po przybyciu na miejsce zostałam przedstawiona Pysi, która powąchała mnie i z radości merdała ogonem. Spodobałam się jej. Nie odstępowała mnie na krok.

Biegała między pokojem, w którym spałam, a pokojem, w którym byli rodzice oraz babcia i dziadek. Kiedy tylko się poruszyłam, jamniczka przybiegała do mnie. Obudziłam się i zapłakałam. Pysia przybiegła pierwsza i kręciła się koło wózka, w którym leżałam. Merdała ogonem i odwracała głowę, szukając mamy. Rodzice nadali psinie przydomek „stróż Madzi”. Jeśli byłam u babci na rękach, Pysia stała przy babci, a jak u mamy, to przy mamie. Zawsze adorowała najmłodszą osobę i pilnowała jej. Polubiłyśmy się bardzo.

Rosłam i zaczęłam stawiać pierwsze kroki. Czas u dziadków umiała mi jak zawsze Pysia. Obydwie kręciłyśmy się po mieszkaniu. Mój stróż zawsze blisko mnie.

Muszę jeszcze wspomnieć, że do psiny zwracałam się: A. Jak tylko powiedziałam A, jamniczka przybiegała i lizała moje rączki.

W pewnym momencie zauważyłam na stole paczkę chrupek, na której narysowany był czerwony królik. Chciałam po nią sięgnąć. Wspinałam się, wspinałam, ale byłam za mała. Pysia, nie zważając na nic, wskoczyła na krzesło, z krzesła na stół i zrzuciła torbę przysmaków. Zabrałam je i weszłam pod stół. Za mną oczywiście pies. W naszej kryjówce rozpoczęliśmy ucztę. Jeden chrupek dla mnie, drugi dla jamniczki. Kolejny do mojej buzi i następny dla Pysi.

- A! Jem ! - powiedziałam. I jadłyśmy.

Wspólną biesiadę przerwała mama.

- Madzia ! – zawołała.

Nie odezwałam się. Zajęta byłam jedzeniem chrupek i karmieniem psa.

- Madzia ! - mama ponownie zawołała.

Ja nadal milczałam. Mój stróż, Pysia, zaszczekała, i w ten sposób dała znać, gdzie jesteśmy.

Mamusia podeszła do nas i uśmiechnęła się. Obie miałyśmy buzie brudne od chrupek i słodkie miny. Dobrze się bawiłyśmy i niechętnie opuściłyśmy naszą kryjówkę.

Mama wzięła mnie na ręce, a ja paluszkami pokazywałam na Pysię.

- A ! - powiedziałam. - A !

Przygodę pod stołem sfilmował tata. Do dziś się z niej śmiejemy.

Fajnie, że już od dzieciństwa miałam zabawne przygody z psem. I prawdą jest, że pies to najlepszy przyjaciel człowieka.

Pysia opiekowała się mną jeszcze długo, tylko ja już nie wołałam do niej A.

## **Wyróżnienie**

**Anna Hęćlik**

**Szkoła Podstawowa nr 48**

**Warszawa**

### ***ZWIERZE? – rzeczownik rodzaju nijakiego? Ależ skąd!***

Ni to pies..., ni wydra ..., czasem nocna sowa albo śpiący bury kot na piecu, albo inne małe czy też większe chuchro perskie, rosyjskie, a może skundlone. Zwinięte pod kocem w deszczowe dni, ryczące na pustyni, a czasem troskliwie owijające trąbą swoje maluchy.

Nijaki? Też pomysł! Wierne jak najdroższy przyjaciel, groźne i sprytnie... Czasem obrażone, nadąsane, dumnie stąpające niczym paw albo szczekające, hałaśliwie jak mały stęskniony szczeniak z radością buchającą z oklapniętych uszu, ogonkiem bijącym rytmicznie powietrze z prędkością atakującego messerschmitta. Albo... jak papuga z krzykliwym protestem drąca się na cały dziób! Oburzenie musi dotrzeć do wszystkich ! Do tych, którzy nie mają ochoty – również! Ni - jaki? – Ten „ni” to jak tabletki na zły dzień – wdzięczne za drapanie po uchu, za długi spacer po lesie, za nowe ziarnka w klatce. Antidotum na złą pogodę, lekarstwo na humor – byś go nie stracił, specjał na skołatane nerwy po całym długim dniu.

Nijaki – to nie byle jaki! Pomizia, wlezie bezczelnie na kolana, pocieszy, łapę poda... nie poda? Szkoda. Skulone, gdy nabroi, niepewnie zerkające spod kanapy, szczęśliwe po obfitym obiedzie, leniwie wyciągające ciepłe ciało do zasłużonych pieszczot. Liźnie długim, chropowatym ozorem, gdy Ci źle, i rozleje, machnąwszy ogonem, twoje ciepłe kakao... z uśmiechem na wąsach. .. ech...

A w ogóle co to za bzdura, że RZECZ-ownik? Toż to przecież nie rzecz! Rzecz nie patrzy ze zrozumieniem, nie popłakuje cichutko za drzwiami, nie tęskni godzinami za twoją obecnością albo w akcie buntu energicznie drapie ukochany mięciutki fotel, nie zerka błagalnym zagłodzonym wzrokiem, gdy jesz ulubiony frykasik... Ślinka leci ..., a udław się właścicielowi kanapeczki... udław się ... spróbuj mi nie dać ... choćby ociupineczkę...Taaaak...Przecież kochasz mnie wielce...

Tak! Stanowczo protestuję – nie rzeczownik, a tym bardziej nie nijaki! Toż to obraza wielka! Czy dla rzeczownika? Rodzajowi i tak w tym wszystkim zwykle jest nijako... Dla ZWIERZĘ to bezwzględnie strata wielka!

**Anna Korolczuk**  
**Szkoła Podstawowa nr 48**  
**Warszawa**

### ***Mój pies Ramzes***

Pewnego dnia byłam w złym humorze. Wszystko szło nie tak. Zasnęłam, więc spóźniłam się do szkoły. Pokłóciłam się z koleżanką. Na dodatek wszyscy uznali, że to ona ma rację. Wróciłam do domu smutna i zła. Rzuciłam plecak w kąt i nie chciałam z nikim rozmawiać. Byłam w bardzo złym humorze.

Wtedy poczułam chłodny nos na swojej ręce. To Ramzes, mój pies, przyszedł, żeby mnie pocieszyć. Zawsze to robił; i tym razem nie zawiódł. Kręcił się w kółko, lizał mnie po twarzy, zapraszał do zabawy. Musiałam go wygłaskać, rzucać jego ukochaną piłeczkę. Po krótkim czasie zapomniałam o złym humorze. Pomogłam mamie zrobić obiad dla nas i dla Ramzesa. Potem Ramzes zjadł obiad i poszedł odpoczywać, a ja zabrałam się za odrabianie lekcji. Po godzinie poszłam z Ramzesem na spacer. Mój pies bawił się świetnie i ja też.

Pewnego dnia mama postanowiła mi zrobić prezent. I poszliśmy do schroniska, by wziąć kota. Bardzo się cieszyłam. W schronisku dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy. Co oznacza merdanie ogonem u psa i kota? Pies merda ogonem, żeby zademonstrować przyjazne uczucia wobec kota. Kot



uderza ogonem, gdy jest zdenerwowany lub w złym humorze. Spytałam jeszcze, co to jest świerzb w uszach, świerzb skóry, pchły. Pan mi opowiedział o świerzbie w uszach. Kot nie jest wrażliwy na świerzb ,dlatego przez długi czas nie obserwuje się u niego żadnych objawów. Może jednak zarazić psa. Należy zatem zawsze leczyć równocześnie oba zwierzęta. Pchły przeskakują dziarsko z psa na kota i odwrotnie. Na koniec spytałam, czy pies może zarazić się czymś od kota. Pan mi odpowiedział, że niektóre choroby mogą się przenosić z psa na kota. Potem poszłam z mama do sklepu, aby kupić zwierzętom leki.

Moje pupile są szczęśliwe, zadbane i przede wszystkim kochane. Czytam książki o postępowaniu z psami i kotami, a zawsze, gdy tego potrzebuję, potrafią mnie pocieszyć i rozbawić.

**Ada Świerżewska**  
**Szkoła Podstawowa nr 300**  
**Warszawa**

### ***Kot w bibliotece***

W bibliotece stoi kot,  
gotów jest do różnych psot.  
Za książkami myszy szuka,  
a gdy słyszy, że ktoś puka,  
biegnie żwawo w tamta stronę,  
wymachując swym ogonem.  
Kiedy już zapada zmrok,  
nasz kochany, piękny kot,  
na posłanku się układa,  
Dzieciom bajki opowiada

**Wiktor Sadowski**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

***Zwierzę na dobry humor***

Mokrym nosem coś mnie trąca,  
Zaraz pacnę tego brzdąca,  
Ma powieka pragnie snu,  
Jak powiedzieć mam to mu,

Trudno, wstanę jednak, bo  
Bardzo, bardzo kocham go,  
Wiem, że piesek siusiać musi,  
Bo inaczej się udusi,

Mam depresję, powiem wam,  
Bo od wczoraj jestem sam,  
Nie wiem, w co mam ręce włożyć,  
Bardzo pragnę się położyć,

Patrzę prosto w oczy mu,  
Kochanemu memu psu,  
Pyszczykiem smycz mi pokazuje,  
Więc na spacer z nim wędruję,

Chociaż pada deszcz obfity,  
Ja mam humor znakomity,  
Bo wam powiem, moi mili,  
Cobyście się nie zdziwili,

Że cokolwiek się wydarzy,  
On poliże mnie po twarzy,  
Przyjacielem jest najlepszym,  
Przy nim czuje się bezpieczny.

**Aleksandra Szwejk**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

### ***Zwierzę na dobry humor – opowiadanie komiczne.***

Pewnego dnia pani z wolontariatu zorganizowała wycieczkę do stajni „POCIECHOM”. Nie byłam szczęśliwa z tego powodu, ponieważ nigdy nie miałam styczności z końmi i osobami niepełnosprawnymi. Jechałam pełna obaw. Dobrze, że namówiłam koleżankę, aby pojechała ze mną; razem zawsze raźniej.

Gdy dojechałyśmy na miejsce, dyrektorka stajni czekała na nas. Serdecznie nas przywitała i zaczęła oprowadzać po terenie. Pokazała nam tajniki stajni i boksy dla koni, plac zabaw, sale do terapii z dziećmi. Prowadzone są tam zajęcia z logopedii, czyli nauka mowy, SI – zajęcia stymulujące rozwój ruchowy oraz właśnie zajęcia z hipoterapii, czyli możliwość obcowania niepełnosprawnego dziecka z koniem.

Uczestniczyłam we wszystkich zajęciach, które prowadzi stajnia. Dzieci, które przyjeżdżają na terapię, są to często dzieci bardzo chore. Niektóre nie mówią, nie chodzą, mają problemy z utrzymaniem równowagi, zaburzenia mowy, a czasami kilka problemów zdrowotnych na różnych płaszczyznach. Wszystkie zajęcia były bardzo ciekawe, ale praca z tymi dziećmi jest bardzo ciężka i wymaga dużo cierpliwości. Cały czas z niecierpliwością czekałam na zajęcia z hipoterapii. Wreszcie wybiło południe i przyjechały pierwsze dzieci. Uczestników terapii wraz z opiekunami zaprowadziłyśmy do szatani. Dzieci założyły kaski oraz ochraniacze i podeszłyśmy do podestu, z którego dzieciom łatwiej wejść na konia. Wcześniej następuje przywitanie dziecka z koniem. Konie z wielką chęcią podchodzą do dzieci. Niektóre są tak niecierpliwie, że od razu szukają marchewek. Wiedzą, że po terapii dostają zawsze smakołyk. Dzieci wraz z opiekunem wychodzą na spacer. Dziecko, siedząc na koniu, głaszcze go, przytula, obejmuje, rozmawia z nim. Obcowanie z koniem uczy dzieci empatii, wzbudza radość.

Po skończonych zajęciach odprowadziłyśmy zwierzęta do stajni, a dzieci do rodziców.

Trener zaproponował nam lekcje ujeżdżania. Nie mogłam przepuścić takiej okazji. Szybko poszłam do szatni, aby się przebrać, i zorientowałam się, że nie mam jednego buta. Zaczęłam energicznie go szukać, rozglądając się wokół siebie, ale nigdzie go nie było. Niemożliwe – pomyślałam - przecież go wzięłam z domu. Trener podszedł do mnie, bo widział moje zdenerwowanie. Uspokój się - powiedział łagodnym głosem. Zobacz, to Kazik schował ci but. Faktycznie okazało się, że but jest w boksie u niego. Zaczęliśmy się oboje śmiać, ale dowcipniś z niego.

Po poszukiwaniach nastąpił moment nauki. Wyruszyliśmy w teren. Mój koń cały czas skubał trawę i w ogóle nie chciał chodzić. Namawialiśmy go usilnie, ale namowy były bezskuteczne. Cóż za kochany koń, ale jakże uparty. Gdy wreszcie skończył jeść, zaczął prychać, cała poskakiwałam na koniu. Potem, po prychnięciu, zaczął wykonywać moje polecenia, ale nie do końca, ponieważ postanowił położyć się na środku drogi. I wygrzewać się na słońcu. Nie można go było przekonać nawet marchewką. Poleżał dobre pół godziny, aż wreszcie zaszło słońce i postanowił iść dalej.

Ale uśmiełam się z niego solidnie. To jednak nie koniec dowcipów Kazika.

Gdy doszliśmy do stajni, koń nie chciał przekroczyć jej progu. Gdy wzięłam swoją torbę i rzeczy do przebrania, stanęłam do niego tyłem. I to był błąd. Rozmawiając z trenerem, nie zauważyłam, jak Kazik wyjmuje z mojej torby wszystkie rzeczy i układa je koło siebie. Kiedy odwróciłam się, rzeczy były wyjęte, a moja bluzka dyndała mu na nosie. Wyglądało to przekomicznie. Zrobiłam mu zdjęcie i wstawiłam na Facebooka. Zdjęcie to zrobiło furorę. Wszyscy znajomi, komentowali je i lajkowali w zabawny sposób. Każdy chciał poznać zabawnego i dowcipnego konia Kazika. Mojego najlepszego kumpla.

**Aleksandra Zaremba**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

*Wciąż mnie zadziwia, że istnieją ptaki,  
które są zamknięte w klatce, a mimo to śpiewają - P. Bosmans*

Jestem tylko ptaszkiem w klatce.

Nie wiem, jak wygląda poranna rosa na liściach roślin.

Nie walczyłem nigdy o przetrwanie.

Nie znam satysfakcji ze znalezienia pokarmu po długich poszukiwaniach.  
Bo jestem tylko ptaszkiem w klatce.

Ale dzikie ptaki nie znają ludzi. Mogą ich obserwować, siedząc na drzewie, jednak nigdy ich nie poznają. Ich - p r a d z i w y c h ludzi.

Co tam psy, koty czy nawet taki kanarek jak ja. Ludzie to najbardziej intrygujące zwierzęta, jakie widziałem. Słyszałem o drapieżnikach, które używają różnych sztuczek, by zwabić ofiary. Ale ludzie - to najprawdziwsi mistrzowie zwodzenia, kamuflażu, przymilania się, ataku z zaskoczenia...  
To niezwykle, jak zmieniają swoje zachowanie i zwyczaje w domu, poza nim i w zależności od tego, w czym są towarzystwie.

Więc czy aż tak dużo tracę? Wątpię.

Chociaż jestem tylko obserwatorem w klatce.

\*\*\*

Salon. A w nim okno. Otwór w ścianie w kształcie prostokąta, w którym wstawione jest szkło. Można je otwierać i zamykać wedle gustu posiadacza. Są też szmatki w kratkę o różnych odcieniach zieleni. Nie firanki. Szmatki-takie, jakich ludzie używają w pomieszczeniu do gotowania, kuchni.

To znaczy, wspomniane szmatki są w miejscu brakujących firanek, powieszzone na karniszu.

Z racji iż nestorka rodu (ach, musicie wiedzieć, że stado ludzi, które obserwuję, składa się z: mojej prawowitej Pani - młodej przedstawicielki gatunku ludzkiego w wieku lat około 11, jej Ojca oraz Samicy Alfa i pewnie nawet Omega- babka oraz matka wyżej wymienionych) stwierdziła, że zakup nowych zasłon jest zdecydowanie za drogi (stare uległy drobnej destrukcji, jednak na usprawiedliwienie mojej posiadaczki mogę tylko powiedzieć, że chciała jedynie uciąć małą sterzącą niteczkę) i wpadła na isticie genialny pomysł. W szufladzie w kuchni jest tyle ścierek, których jeszcze nawet nigdy nie używali- czemu z nich nie zrobić szykownych kurtyn? A zaoszczędzone pieniądze można odłożyć na fundusz pogrzebowy.

Firanki i tak nigdy nie były zasuwane. Więc po co te nowe? Bo według Samicy Alfa takie „gołe” okna źle wyglądają. Co pomyślą sąsiedzi? Że ich nie stać? A podobno, gdy się stoi przed domem i spojrzy w okno ze szmatkami na karniszu, przeciętny obserwator będzie

myślał, że to zwykle zasłony.

Ludzie są doprawdy pomysłowi.

\*\*\*

Z mojej klatki jest doskonały widok na okno ozdobione kuchennymi ścierkami. To bardzo pomaga w mych obserwacjach- można oglądać ludzi w dwóch środowiskach: świecie zewnętrznym oraz ich gnieździe czy domu- jak tam wolicie.

Naprzeciwko klatki wisi zegar. Ojciec od poniedziałku do piątku wychodzi, gdy zegar wskazuje godzinę szóstą rano. Zresztą wraca również o szóstej. Też rano. Jakiś czas temu mechanizm zatrzymał się na tej godzinie (no, tak dokładniej na piątej pięćdziesiąt osiem, ale ludzie chyba nie przejmują się aż takimi szczegółami), a nikomu nie chce się na tyle fatygować, by coś z tym zrobić. Więc Właścicielka wychodziła do szkoły o szóstej rano, wracała o szóstej rano, rodzina jadła śniadanie o szóstej rano, obiad o szóstej rano, kolację o szóstej rano, zmieniano mi wodę o szóstej rano... Wszystko się od tej pory w tym domu działo o tej szóstej rano. Ale nauczyłem się z tym radzić, obserwując, co się dzieje za oknem. Tak więc Ojciec wychodził w tygodniu o szóstej rano, gdy dopiero zaczynało świtać, wracał o szóstej rano, gdy słońce kryło się już tam, gdzie mój wzrok nie dosięgał. Za to w sobotę i niedzielę- wracał o szóstej rano, podczas gdy reszta domowników już się dawno temu ułożyła do snu, a po ulicach przestawały jeździć samochody. Wracał, często śpiewając „O Mój Rozmarynie” i z trudem utrzymując równowagę. Na początku mego pobytu w tym miejscu nawet mu współczułem, ale z czasem, gdy działo się to notorycznie, stało mi się to tak samo obojętne jak fakt, że w każdy czwartek Samica robi rosół z kury. Naprawdę, tak jest od wielu lat (mówię tu o Ojcu, nie rosole, chociaż w sumie to drugie też się zgadza). Kiedyś, o pewnej dość późnej, sobotniej szóstej rano moja Właścicielka- mały pędrak w różowej piżamce z pluszowym królikiem w małej rączce - zastała swego rodziciela wciąż nużącego i rozłożonego na kanapie. Chwilę wcześniej przyniósł z łazienki odkręconą fiolkę różowawego płynu, którym zwykle przyskała się Samica Alfa przed wyjściem na partyjkę brydza u swych koleżanek. Zapach był tak mocny i obrzydliwie przesłodzony, że aż w mojej klatce było go czuć. Właśnie miał wypić łyżek, gdy zauważył swe młode. Dziewczynka ze zmęczenia przecierała oczy. Rozmowa była dosyć krótka. Ona: „Tatusiu?”. On: „Taaak?”. Ona „Babcia mówi, że jesteś alkoholikiem. Czy to prawda? Czy... to coś złego?”. On: „Ależ przecież nie jestem żadnym alkoholikiem, nigdy nie byłem i nie będę...”. Mężczyzna pociągnął kolejny łyk. On: „Widzisz to?

Czy tooo... jest alkohol? Czyyy perfumy?" Ona: „No...Perfumy. Perfumy Babci...Ale... czemu je pijesz?". On: „Bo... wiesz... żeby mieć ładniejszy oddech...Tak...Oddech... Więc nie masz się czym martwić, króliczku. Idź spać". I znów łyk. A Ona wyraźnie uspokojona: „Ach. To...Dobrze! Dobranoc, tatusiu!" i poczłapała z uśmiechem w kierunku swego pokoju.

Ludzie są doprawdy fałszywi.

\*\*\*

Nie opisałem wam jeszcze mojej klatki. Więzienie, schronienie- jak tam to nazwiecie.

Dla mnie- po prostu klatka. W sumie dosyć prosta. Srebrne pręty, w środku powieszona kolba do wyskubywania ziarenek, poidelko, wapno...

... i najdroższa dla mnie rzecz- w samym kącie różowa wanienka wypełniona wodą.

Pierwsze dni mojego pobytu były okropne. Ja, taki żółtodziób w zwyczajach ludzkich- zupełnie nie wiedziałem, czego mam się po nich spodziewać. To było lato. Gorące lato. Ojciec i Alfa naradzali się, z czego by mi zrobić wanienkę, w której mógłbym się schładzać i myć („W końcu jeśliby zdechł, to pieniądze poszłyby w błoto!"- niezapomniany cytat). Wtedy moja Właścicielka zerwała się, pochwyciła coś z domku dla lalek- a był to nowiutki domek, który dostała od ciotki- po czym pobiegła z tym do łazienki. Szybko podbiegła do klatki i wyciągnęła rękę z zabawkową wanną wypełnioną wodą, uśmiechając się. Jasny wróbel! Co z tego, że nie miała zęba z przodu.

Naprawdę pięknie się uśmiechała.

Wspomnienia przerwało mi trzaśnięcie drzwiami od salonu i dziewczęcy płacz. Jedenastolatka siadła na podłodze, becząc. Ostatnio dość często się to zdarzało- Miłośnik Perfum zaczął imprezować również w inne dni poza sobotą i niedzielą.

No i cóż... Zrobiłem coś, czego byście się na pewno nie spodziewali.

Rozłożyłem skrzydła, zacząłem gorączkowo latać, skrzecząc i objijając się o klatkę, po czym wylądowałem z pluskiem w różowym plastiku. Wychyliłem się... i zobaczyłem cudny uśmiech przez łyki. I w salonie, w którym ostatnio było tak ponuro wreszcie rozbrzmiał dziewczęcy śmiech, dla którego byłbym w stanie zrobić chyba wszystko.

Ludzie są doprawdy... Och, sam już nie wiem. W końcu jestem tylko ptaszkiem w klatce.

**Marta Kozuchowska**  
**Szkoła Podstawowa nr 11**  
**Warszawa**

Pies to cudowne stworzonko  
Przy nim czuję się jak słonko  
Co ranka budzi mnie, liżąc po twarzy  
Czuję się wtedy jak grupa szczęściarzy

Gdy robi śmieszoną minę  
Rozbawia całą rodzinę  
Gdy prosi na dwór ,biegając od drzwi do okna,  
Jestem na niego zła i okropna

Lecz wybaczyć takiemu pieskowi jest całkiem nietrudno  
Bo bez niego byłoby nudno  
Jak raz pogryzł buty mojemu tacie,  
To tata, krzycząc, powiedział „o, bracie”

Lecz gniewać się na zwierzaka nie wypada  
Gdy ten z radością na ciebie wpada  
Skacze, żywo merda ogonem  
Uwielbia spać pod moim salonem

Sprzątanie po psie to nic takiego  
W porównaniu z tym, co daje nam wielkiego  
Tyle radości, zabawy, uciechy  
Dobrych nastrojów i dużo pociechy

Masz jakiś problem, nie możesz nic poradzić  
Przytul się do zwierzaka, on potrafi zaradzić  
Nie będzie plotkował na twój temat  
Bo to przyjaciel, jakich nie ma

Nie masz jeszcze pieska, nic straconego  
W schronisku na pewno znajdziesz miłego  
Obdarz go wielką opieką i miłością  
Jak nikt odwzięczy ci się wiernością



Powodzenia brachu, zaopiekuj się czworonogiem bez strachu!!!!

**Jan Romanowski**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

***Komar***

Po mieszkaniu coś się skrada  
męczy, bzczy, żyć nie daje  
w każde lato mnie napada  
pora więc wymierzyć karę!

w dłoni trzymam już kapeć  
nie powstrzyma mnie już nic  
"chcesz mnie zabić bez mrugnęcia?  
weź człowieku daj mi żyć"

Komar w ogóle się nie poddaje  
fruwa szybko z kąta w kąt  
"Kto tu komu żyć nie daje?"  
otwarte okno to był błąd

Tyle owada w pokoju widziano  
ale tak na koniec powiem  
jak go spotkam jutro rano  
to mu eldorado zrobię!

***Psie szczęście***

Opowiem wam dzisiaj historię pewnego człowieka, który zapomniał, jak to jest być szczęśliwym, ale w końcu pomoc przyniósł mu pewien dar od losu.

Posłuchajcie...

Pan Gardner siedział jak zwykle sam w pokoju. Patrzył przez okno swojego mieszkania, jak ludzie spieszą się na ulicach. On sam był pisarzem i już dawno nie musiał nigdzie wychodzić. Od kiedy napisał ostatnią książkę, minęło dużo czasu, i zapomniał już, jak to jest mieć bliski kontakt z ludźmi. Zaczął po części prowadzić życie samotnika i całe dni przesiadywał na fotelu, patrząc przez okno i szukając pomysłu na następną historię. Powinien zacząć pracować nad czymś nowym, ale niestety nic go nie inspirowało. Dawniej wiele podróżował i to go natchnęło do napisania pierwszej książki. Szybko odniósł sukces i wydawało się, że kolejne opowieści same przelewają się na papier. Niestety w pewnym momencie jego dobrą passę przerwało pojawienie się innego autora, którego powieść zyskała jeszcze większą popularność od niego. Tak stracił chęć do pisania i zamknął się w sobie. Nie chciał nic publikować i brakowało mu dobrych pomysłów. Wiedział, że długo nie będzie mógł tak żyć i będzie musiał napisać kolejną powieść albo zająć się inną pracą. Siedząc tak i rozmyślając nad swoim losem, zapomniał o otaczającym go świecie, aż nagle ciszę rozdarł dźwięk dzwonka.

- Dzień dobry, panie Gardner – powiedział stojący w drzwiach chłopiec. Był to Tom. Mieszkał piętro niżej i od czasu do czasu przynosił Gardnerowi gazety, gdyż wiedział, że on sam nigdy nie wystawia nosa poza swoje mieszkanie.
- Witaj Tom – powiedział.
- Przyniosłem panu gazetę i rogalika – powiedział chłopak, wchodząc do środka.
- Dziękuję. To miło z twojej strony – odpowiedział.
- Wymyślił pan w końcu nową historię?
- Nie. Nie mam pomysłu. Myślę, że to już koniec moich książek i czas wziąć się za prawdziwą pracę.

- Rozumiem pana. Też czasami nie wiem, co zrobić, jak muszę napisać wypracowanie z polskiego. Często wtedy przepisuję je z internetu, ale pani wtedy od razu wie, że ściągałem, więc to raczej się nie uda. Może powinien pan stąd wyjść? Poszukać jakiś nowych inspiracji, bo w tym mieszkaniu nie ma nic ciekawego. No może oprócz pana, ale z takim podejściem to i pan też zrobi się jak te uschnięte kwiaty na balkonie u pani dwa piętra wyżej.
- Wiem, o czym mówisz, Tom. Myślę, że już nic nowego nie wymyślę. Ale dziękuję, że jeszcze wierzysz w moje możliwości – odpowiedział.
- Niech pan się zastanowi nad nową powieścią i da mi znać, jak pan coś nowego napisze – odparł Tom i wyszedł z mieszkania.

Gardner znowu został sam. Wziął gazetę i zaczął ją przeglądać. Najwyraźniej los postanowił się do niego uśmiechnąć po raz kolejny. Pisarz, przeglądając kolejne strony, zobaczył duże ogłoszenie zatytułowane „Oddam psa”. Myśląc, że może nowy towarzysz natchnie go do pracy, zadzwonił pod podany numer. Dwa dni później siedział w swoim fotelu, ale tym razem nie sam, bo obok niego biegał mały golden retriever. Z pozoru piesek wydawał się grzeczny, a pisarz, podekscytowany nowymi wydarzeniami, usiadł do pisania nowego opowiadania. Na chwilę zamyślił się i stracił zwierzę z oczu. Nagle rozległ się głośny trzask. Pan Gardner szybko pobiegł do kuchni, bo stamtąd dobiegł dźwięk. Stał w drzwiach i zobaczył piska siedzącego na worku karmy, która jeszcze przed chwilą była na stole. Zwierzak musiał pociągnąć za obrus i wszystko spadło. Dookoła rozsypało się jedzenie, ale maluch nie zdawał sobie sprawy, że zrobił coś złego.

Tak zaczęło się pasmo przygód pisarza ze szczeniakiem. Pies z dnia na dzień stawał się coraz bardziej niegrzeczny. Biegał po całym mieszkaniu, gryzł każdy mebel, wynosił buty i robił wiele innych rzeczy, przez które pan Gardner nie mógł skupić się na pisaniu książki. Mimo że pies przynosił więcej szkód niż korzyści, pisarz nie mógł się długo na niego gniewać. Wreszcie w jego życiu zaczęło coś się dziać. Nie przesiadywał wielu godzin w fotelu, bo szceniak mu na to nie pozwalał. Pies otrzymał imię Bentley. Pisarz nadal nie mógł napisać nowej książki, bo opieka nad szczeniakiem zajmowała mu coraz więcej czasu. Pewnego dnia, gdy wyszedł z Bentleyem na spacer, zatrzymał się, by kupić gazetę, i właśnie gdy chciał zapłacić, pies zauważył w pobliskim stawie łabędzie. Od razu pomknął w ich stronę, a Gardner ruszył za nim w pogoń. Pies, nie zważając na nic, biegł przed siebie. W ostatnim momencie zatrzymał się, gdyż zobaczył, że ptaki są od niego dużo większe. Przestraszył się, odwrócił i, nie patrząc, gdzie biegnie, uderzył w drzewo. Lekko oszołomiony biegł dalej, ale w końcu Gardner go złapał.

Ale pewnego razu pies musiał pierwszy raz zostać sam w domu.

- Zostawiam cię na chwilę samego. Wracam za moment. Nie zniszcz niczego, a dostaniesz swoje ulubione chrupki – tłumaczył psu pan, gdy wychodził.

Lekko zdenerwowany zostawieniem zwierzaka w domu, pan Gardner zamknął za sobą drzwi. Gdy po dwóch godzinach wrócił do domu, ulżyło mu, gdyż o dziwo mieszkanie wyglądało tak, jak je zostawił. Niestety jego radość nie trwała długo, bo zobaczył, jak Bentley siedzi w salonie, trzymając w pysku kawałek nogi od stołu. Okazało się, że pies gryzł tak długo jedną z nóg, że ta w końcu odpadła, a wszystko, co było na blacie, rozsypało się po podłodze. Nie wiedząc dlaczego, pisarz nie zdenerwował się na Bentleya, tylko zaczął się śmiać. Wiedział, że pies jest zdolny do wielu rzeczy, ale nie spodziewał się takiej sytuacji. Pan Gardner mimo wielu kłopotów cieszył się, że ma Bentleya, bo wiedział, że nikt tak nie poprawia mu humoru jak właśnie on. Nawet gdy był na niego zły po kolejnym wybryku, to zwierzak zawsze przychodził do niego i niczym człowiek próbował przeprosić go za kolejne straty, przynosząc mu w pysku gazetę.

W końcu przyszedł dzień, w którym pan Gardner napisał nową powieść. Postanowił, że spisze wszystkie swoje przygody z małym Bentleyem, i tak powstała nowa książka.

- Dzień dobry panu – rzekł pewnego razu Tom, mijając na schodach zadowolonego pana Gardnera.
- Dzień dobry, Tom – przywitał go miło pisarz.
- Widzę, że jest pan w dobrym humorze. Udało się panu napisać kolejną opowieść? – zapytał.
- Tak. Właśnie idę do wydawcy omówić wszystkie szczegóły. To wszystko to twoja zasługa. Gdybyś nie przyniósł mi wtedy tej gazety, nie adoptowałbym psa, a książka nigdy by nie powstała – wyjaśnił.
- To wspaniale, że w końcu znalazł pan inspirację – odparł chłopiec.
- Ja też się bardzo cieszę. A teraz przepraszam, ale spieszę się. Do widzenia, Tom – rzekł pan Gardner i poszedł.

Po spotkaniu z wydawcą wszystko szło bardzo dobrze. Książka trafiła na półki księgarń kilka miesięcy później, a Bentley zyskał wielu fanów. Wreszcie autor czuł się szczęśliwy, a to wszystko za sprawą jednego zwierzęcia. Tak właśnie mały piesek zmienił życie samotnego pisarza, który wreszcie zaczął być szczęśliwy.

**Katarzyna Kuzka**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

### ***Żółwie śniadanie***

Dwa żółwiki z Warszawy  
poszły sobie na kawę.  
Jeden bardzo wesoły  
przemknął w pobliżu szkoły.  
Drugi, szybki jak wiatr,  
pragnie poznawać świat.

Umówiły się rano,  
najlepszy stolik im dano.  
W ekskluzywnej kawiarni,  
jedząc dżem ze spiżarni,  
rozmawiały ciekawie  
o najlepszej w mieście kawie.

Czarna najlepsza!  
Z mlekiem najświeższa!  
Nie znasz się!  
Wcale nie!  
Dyskusja od rana toczyła się,  
a małe zwierzęta kłóciły się.

Byłyby się żółwie prawie pobily,  
lecz się okazało,  
że tę samą kawę piły.

**Maciej Górski**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

***Tygrys***

Tygrysie w błysku mroku!  
W moim nieziemskim oku  
Przyśniło mi się, że nam noc rozświetlisz:  
Skupiona groza w twej skromności?

Jaka to otchłań od nieb daleka,  
Ogień w źrenicach, pot na powiekach?  
Czyje to pasy, czyje to łapy  
Wznieciły to, co w tobie płonie,  
Tygrysie kudłaty?

Skąd ta prężna krew, co życie tve wywierca  
W związany supeł twego serca?  
Czemu ono tak szybko bije?  
Czyje w tym moce? Czyje?

Jakim to młotkiem tłukł zajadle  
Twój rozum, na jakim kładł kowadle,  
Z jakich ognisk go wyjmował  
Cęgami pomocny ci kowal?

**Bartłomiej Pruss**  
**Szkoła Podstawowa nr 48**  
**Warszawa**

***MÓJ ZWIERZ***

Lubię zwierzęta, więc o nich pamiętam.  
I te duże, i te małe są bardzo kochane.  
Psy, koty, słonie, żyrafy,  
Krowy, konie i hipopotamy.  
W domu, Afryce czy nawet w ZOO,  
Lubię je wszystkie, że ho, ho.

Podęjdę bliżej, tutaj pod płot,  
Patrzę w tę stronę - to przecież kot!  
Oczy, uszy, cztery łapy,  
Długi ogon, wielkie łaty.  
Miłe futerko, ostre pazury,  
Przed nim uciekają myszy i szczury.  
Miauczy, biega, podskakuje,  
Wielką frajdę mi funduje.  
Piłkę turla dla zabawy,  
I wszystkiego jest ciekawy.  
Biegam za nim, ciężko sapię,  
A on siedzi już na szafie.  
Lubi mleko i przysmaki,  
A ja lubię mlekołaki.  
Gdy jest mi smutno, mruczy cichutko,  
Humor mi wraca - taka to praca.  
Biega po trawie, wskakuje na drzewo,  
Wtedy go wołam - wracaj kolego!  
Szybko przybiega, wskakuje na ręce,  
Jestem szczęśliwy, że ze mną będzie.  
Lepszego zwierza, kociego przyjaciela,  
W całym świecie nie ma.

**Nikola Olszewska**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

Czyż ta kobieta nie ma nierówno pod sufitem? Właśnie stuknęło mi trzynaście lat, co jest odpowiednikiem ludzkiej sześćdziesiątki, a ta, cmokając, oznajmia mi co rano, że „mamuńcia już niesie pyszną wątróbeczkę”. Nie wiem, o co jej chodzi. Czy ja wyglądam na ułomnego, który nie jest w stanie trafić do kuchni? Przecież raz mi się to już zdarzyło. Pamiętam, jakby miało to miejsce wczoraj. A było to tak:

Obudziłem się bardzo wcześnie, bo coś burczało. To był ON, mój żołądek. Bardzo się przeraziłem, nigdy wcześniej nie zaznałem tego uczucia. Głód kazał mi unieść się na posłaniu i wygiąć grzbiet w łuk. Wykończony tym katorżniczym treningiem, zasnąłem na kolejny kwadrans, jednak ssanie w żołądku pchnęło mnie ku dramatycznej decyzji. Postawiłem łapy na

podłozie i wykonałem krok. Mamcia i tatulek byliby zszokowani. W końcu noszą mnie na rękach, czeszą futerko i prezentują na wystawach. A tu: kierat, wędrówka z pokoju do kuchni. Mięśnie mi drżały, krew burzyła się, cały organizm buntował się przeciwko wysiłkowi, ale byłem dzielny. Z dumą ciągnąłem swój brzuch po perskim dywanie, później po gładkich panelach i na koniec po lśniącej terakocie. Przybyłem, zobaczyłem, zjadłem.

„Gdzie oni są?” - myślałem nerwowo. – „Przecież nigdy nigdzie nie wychodzą”. Nagle spostrzegłem uchylone czasopismo na blacie nad moją głową.

„Wskoczę” – pomyślałem. – „Może będzie tam jakaś wskazówka”.

Ugiąłem tylne nogi, wybiłem się i... nie oderwałem się nawet o centymetr. Mój brzuch okazał się bardzo przyziemny. Odbiłem się drugi raz, trzeci, i za czwartym razem moje próby poskutkowały.

„Będę miał zakwasy” - przeleciało mi przez głowę, gdy wzbijałem się na poziom blatu. Wbiłem się weń pazurkami i wciągnąłem na stół ciężkie podwozie. Spojrzałem na gazetkę i już wszystko wiedziałem. Dzisiaj w „Realu” były promocje na koldry z lamy. Można było też wygrać czajnik elektryczny. Byłem więc sam. Nie chcę wspominać koszmaru powrotu z kuchni na moje legowisko. Na samą myśl o nim robię się nieziemsko zmęczony.

Może faktycznie mamcia ma rację, w końcu nie byle jaki ze mnie kocur. Zasługuję na to, żeby podsuwać mi pod nos najznakomitsze kąski. Pozwolę jej zatem raczyć moje podniebienie. Niech się cieszy, że "kotecek pańcię kocha". A i tatuś ma lepszy humor, kiedy zgadzam się na drapanie mnie po brzuszku. Może nawet w przyływie łaski czasem mruknę z uznaniem...

**Oliwia Drzazgowska**  
**Gimnazjum nr 41**  
**Warszawa**

### **Gość**

Zaprosili na szampana  
Państwo Nowak dziś Brajana  
Dobrze się on nie sprawował  
Wszystkich w domu denerwował  
Aż tu nogi do talerza  
Nie chciał zmówić też pacierza  
I spadł z krzesła, i nabrudził  
A Pan Nowak się natrudził  
- Za grosz nie ma on kultury!



- Obedrzemy go ze skóry!  
Wszyscy w domu oburzeni  
Sami goście dzisiaj chcieli  
A ten dalej swoje żarty  
Z łyżek zdążył zrobić narty  
Wszędzie zupa jest rozlana  
Będą to sprzątać do rana  
Cóż ten Brajan tu narobił  
Nawet przeprosin nie złożył  
Tu pytanie zaistniało  
Co się temu panu stało  
Jego nos był tego znakiem  
Że ten Brajan był prosiakiem

**Barbara Marella**  
**Szkoła Podstawowa nr 48**  
**Warszawa**

Od dwóch lat jestem wolontariuszką w schronisku „Pod Psim Aniołem”. W schronisku psy spędzają czasami po kilka lat . Bardzo lubią biegać i się bawić jak każdy psiak. Dlatego też praca wolontariuszy jest bardzo ważna. Psiaki są zadowolone, ale ci, co je wyprowadzają i dbają o nie, są również szczęśliwi. Psy dają nam wiele pozytywnej energii, potrafią kochać jak nikt i są nam wdzięczne. Sprawia to, że nam wolontariuszom podoba się ta praca. W schronisku zdarza się wiele komicznych sytuacji i szczęśliwych zakończeń, takich jak zabranie psa do domu tymczasowego lub stałego.

Czasami psy w schronisku szaleją ze szczęścia. Na spacerach wariują, robią głupie miny, tarzają się po trawie lub kałuży. Lubią kąpiele w błocie. Może wiedzą, że to zdrowe i ładnie wpływa na skórę! Zdarzyło się , że suczka o imieniu Kim wyjęła mi kanapkę z plecaka. Potem, jak opowiedzieliśmy to innym, szybko znalazła kochający domek, w którym zabroniono jej wyjmować kanapek z torby, ale za to Kim dostaje inne dobre jedzonko dla psa i pyszne smakołyki.

Kim już jest w nowym domku od dwóch lat i jej państwo mówią, że jest grubiutkim psem. Każdy zna Kim jako łakomego pieska i oczywiście grubego. Kim nie lubi się odchudzać, ale zła pani weterynarz każe jej schudnąć aż dwa kilo. Kim to bardzo piękna suczka. Wygrała wiele konkursów sprawnościowych, a nawet konkurs piękności. Wszyscy głosowali na Kim.

Wygrała oczywiście kosz smakołyków, od których tyje. Chyba specjalnie się stara wypaść dobrze w konkursach, aby dostać jak najwięcej smakołyków.

Latem Kim uwielbia wyjeżdżać na wakacje. Uwielbia piękne miejsca: Sycylia i Majorka to jej ulubione pomimo upału. Na Sycylii wpadała na pizzę, a na Majorce do lodziarni. Jej mordka umazana lodami jest przepiękna. Gdy jest gorąco, kąpie się w basenach, a w nocy w kałużach. Kim lubi podróże samochodem, pociągiem i autobusem. Najbardziej lubi jeździć pociągiem, gdzie leży na środku wagonu jak królowa. A pod nieobecność swojej Pani stara się włamać do kosza ze smakołykami.

Niestety Kim musiała przejść na dietę. Trzeba było zrobić to dla jej zdrowia. Była smutna i nie chciała nawet chodzić na spacer, dopóki nie poznała przystojnego Chana. Teraz ma kolegę, z którym codziennie biega i chudnie. Ćwiczy, rozciąga się, a nawet wciągnęła to swoją Panią. Biegi po lesie i skoki przez słupki to łatwość dla Kim, czasami tylko jej Pani nie daje rady, więc musi potrenować. Kim jest bardzo energiczną, ale bardzo grzeczną suczką. Pomyśleć, że jeszcze dwa lata temu siedziała w schronisku, czekała na ciepły domek i chyba nie wiedziała, że będzie tak szczęśliwa i tyle szczęścia i radości będzie dawała swoim państwu. W schronisku psy mają dobrze, ale wszędzie dobrze, ale w domku u kochających ludzi najlepiej.

Warto brać psy ze schroniska. Są i białe, i czarne, rasowe i nierasowe, grube i chude, stare i młode. Najwięcej jest szczeniaków, one znajdują nowe domy najszybciej. Państwo Kim bardzo się cieszą, że akurat ją wybrali, bo sprawia im wiele radości, a także wiele ich uczy. A i oni widzą, że Kim jest pogodnym i szczęśliwym psem. Patrzy na nich mądrymi oczami, jakby była człowiekiem. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby umiała mówić? Pewnie że im dziękuje za szczęśliwy los, a oni powiedzieliby jej, że nie ma większego szczęścia niż adopcja psa ze schroniska. Bo kto potrafi tak pocieszyć i spowodować, że mamy dobry humor? Zwierzaki. One wyczuwają, że jesteście smutni, chorzy, że coś nas trapi. Są najlepszym lekarstwem na choroby i zmartwienia, a my dla nich jesteśmy nadzieją na lepsze życie.

***SZCZUR ŁĄDOWY***

To był błąd. Ba! To był ogromny błąd. Nawet gdybym nie wyczuł, że statek jest tandetny, to przecież widziałem szczury uciekające z niego, gdy tylko ten przycumował do portu. Ale ja i tak wlałem na ten przekłęty wrak. I co teraz? Dryfuję na pojedynczej desce na środku oceanu. Panie i panowie, mamy wspaniały widok. Na północy można zaobserwować bezkres oceanu. Na wschodzie, co za niespodzianka, woda! Na południu woda i dla urozmaicenia na niebie widać chmurkę. Za to gdy spojrzymy na zachód, zauważymy, że niebo jest trochę ciemniejsze. Jest to pozostałość po sztormie, który doszczętnie zniszczył statek i zabił wszystkich pasażerów.

Po kiego czorta ja wchodziłem na ten statek? Nie mogłem poczekać na kolejny, na przykład taki, który nie zapowiadał katastrofy? Ech... przynajmniej wyszło mi już futerko. Przemyślałem sobie pyszczek. Czeka mnie długa podróż, ale w każdej chwili może się ktoś pojawić, nie mogę źle wyglądać. Ziewnałem; nie spałem cały dzień, muszę odpocząć. Spać się teraz nie boję, w końcu dla rekinów jest tu za głęboko. No ale że głupot miałem już dość, wyjąłem ogon z wody i zawinałem pod siebie. Tak można spać. Dobranoc.

Coś mnie smyrgnęło w ogon... Mój Boże! ZGINĘ! Szybko się poderwałem i przebiegłem na drugą stronę deseczki. Byłem gotowy do kontrataku.

- Spokojnie malutki, nic ci nie zrobię - usłyszałem człowieczy głos.

Przerwa na ogarnięcie sytuacji, poproszę. Moja deseczka już nie dryfowała, tylko leżała na większej desce. Obok mnie siedział młody człowiek. Nigdzie nie widać było rybiego ani ptasiego zagrożenia. Spojrzałem na człowieka. Miał ciemną, miejscami zaczerwienioną skórę. Włosy sięgały mu do ramion i były w tym samym odcieniu brązu co moje futerko. Miał trochę podartą białą koszulę i brązowe lniane spodnie, a na głowie zawiązaną czerwoną chustkę. W reku trzymał kawałek chleba.... Lubię go. Powoli do niego podszedłem, a potem szybko zabrałem chleb i wróciłem na drugi koniec deseczki. Człowiek się zaśmiał.

- Słyszałem historie o chłopaku, który utknął na łódce z tygrysem, a mnie się trafił szczur. Chyba mogę uważać się za szczęściarza, nie uważasz?  
- przechyliłem lepek, żeby lepiej go słyszeć. - Nie przedstawiłem się,

przepraszam - zaśmiał się. - Nazywam się Nicolò, ale możesz mi mówić Nick. Jak ty się nazywasz?

Chyba go słońeczko za mocno przygrzało. Jak ja mam niby powiedzieć, że szczury nie nadają sobie imion, bo to bez sensu? Wydałem kilka nic nie oznaczających dźwięków, żeby wydawało mu się, że odpowiedziałem. Zaśmiał się

- Inteligentny jesteś, co? Rozumiesz, co mówię. Pewnie wiesz też, że nic nie zrozumiałem. - Znowu się zaśmiał. - Co ty na to, żebym dał ci jakieś imię? Już nawet mam pomysł.

Podszedłem bliżej niego. Może brakowało mu piątej klepki, ale nie wydawał się niebezpieczny.

- Co byś powiedział na imię Tigre? - Może być. - Mógłbym mówić, że byłem z tygrysem na tratwie. - Znowu się zaśmiał.

Czemu musiał mi się trafić taki dziwny człowiek. Wydałem jeszcze kilka dźwięków, żeby jakoś je sobie zinterpretował. Podał mi nawet jeszcze trochę chleba.

Od tamtej pory co prawda widoki się nie zmieniły, ale przynajmniej miałem towarzystwo. Nick jakimś cudem uratował część zapasów ze statku, więc nie musieliśmy się za bardzo martwić o jedzenie i picie. Przynajmniej przez jakiś czas...

Obudziłem się w środku nocy, Człowiek siedział na skraju tratwy. Z tego co wiem, noc jest porą snu dla ludzi, ale z nimi nigdy nic nie wiadomo. Podszedłem do niego.

- A co, jeśli umrzemy na tej tratwie?- spytał, nie patrząc na mnie. - Co, jeśli nigdy nie dobijemy do brzegu? Mama odradzała mi żeglugę, bała się, że zginę na morzu jak tata. Co, jeśli ja też umrę? Kto się zajmie mamą i Isabellą? - spojrział na mnie. - Co się stanie?

Ugryzłem go w palec. Człowiek zareagował krzykiem i wcisnął sobie zakrwawiony paluch do ust. Psuł mi humor i gadał bzdety. Czy on naprawdę nie czuje, że zbliża się duży statek pasażerski? Będziemy dryfować jeszcze maksymalnie jeden dzień.

- Ej! Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi! - krzyknął człowiek. - A co, jeśli jesteś na coś chory? Czasami zapominam, że jesteś dziki...

Wypraszam sobie, jestem zdrowym i zadbanym szczurem. Śmieszny ten człowiek, sam jest okropnie brudny, a twierdzi, że to ja jestem chory. Na jego miejscu to bym się przebadał. I na pewno nie jestem dziki, matka wychowała mnie na kulturalnego szczura.

Wlazłem na jego ramię po ręce; nie wiem czemu, ale on to lubi. Z wysokości lepiej wyczuwam zbliżający się parowiec.

- Co tam tak niuchasz, zdrajco?

Wyciągnąłem łapę w kierunku statku, żeby dać mu sygnał o zbliżający się wybawieniu.

- Uważaj, bo spadniesz - zaśmiał się i podłożył dłoń po moją łapę.

Czasami po prostu nie wierzę, że można być tak niedomyślnym. Westchnąłem i zszedłem z jego ramienia. Układając się na prowizorycznym posłaniu, które mi zrobił, pomyślałem o tym, jakie mam szczęście, że ściągnął mnie z tej deski.

Koło południa człowiek zaczął biegać po naszej tratwie. Jest to nie lada wyczyn, bo jest ona niezwykle mała. Mam wrażenie, że zobaczył zbliżający się od trzech dni statek.

- Tigre! - schylił się do mnie i wyciągnął dłoń. - Chodź tutaj. Jesteśmy uratowani!

Wlazłem mu na ramię. Moją małą pierś wypełniało szczęście. W końcu będę znowu w domu. Nicolo zaczął energicznie machać rękoma i krzyczeć. Potem sięgnął do torby i wyjął czerwony pistolet. Wystrzelił flarę, po chwili kolejną. Po kilku minutach ludzie ze statku spuścili nam drabinki. Dali nam jeść i przydzielili kajutę. Biegałem szczęśliwy po miękkim łóżku, a Nico siedział w fotelu i mnie obserwował.

Po dwóch tygodniach przybiliśmy do brzegu. Wybiegłem do portu i ucałowałem ziemię. Zdecydowanie morze nie jest dla mnie; nie będę się obrażał, jak ktoś nazwie mnie szcurem lądowym. Pobiegłem w stronę domu. Tuż przed wejściem do środka obejrzałem się na człowieka. Stał na środku i zmartwiony szukał czegoś na ziemi. Zgubił coś? Po chwili się ruszył. Szedł w konkretnym kierunku, ale dalej patrzył na ziemię. Pobiegłem za nim.

Zatrzymał się przed małym białym domkiem. Wybiegły z niego dwie zapłakane kobiety; jedna była o wiele starsza. Uścisnęły się i kobiety zaczęły się śmiać i coś opowiadać. Weszły z powrotem do domu. Nico już miał pójść za nimi, ale jeszcze raz się obejrzał. I wtedy mnie dostrzegł. Uśmiechnął się szeroko i klęknął, wyciągając do mnie dłoń.

Zdałem sobie sprawę, że szukał mnie. Ruszyłem powoli w jego stronę, by w końcu wskoczyć mu na ramię. Wtuliłem się szczęśliwy w jego szyję.

- Zostaniesz ze mną? - spytał.

Wiedziałem już, czego potrzebuję. Nie przygód na morzu, nie okropnej rodziny, dla której jestem słabym ogniwiem. Potrzebowałem prawdziwego domu, w którymś komuś by na mnie zależało, i miałem to zapewnione przy moim Człowieku.



**Zuzanna Zakiewicz**

Gimnazjum Dwujęzyczne nr 50 w Warszawie  
pastele olejne  
I miejsce



**Dominika Dobrowolska**  
Gimnazjum Dwujęzyczne nr 50 w Warszawie  
pastele olejne  
II miejsce



**Aleksandra Cichowska**

Gimnazjum Dwujęzyczne nr 50 w Warszawie

kredki ołówkowe

III miejsce





**Natalia Kotowska**

Szkoła Podstawowa nr 32 w Warszawie

batik

I miejsce



**Julia Halko**

Szkoła Podstawowa nr 203 w Warszawie

wyklejanka

II miejsce



**Zuzanna Pawłowska**  
Szkoła Podstawowa nr 163 w Warszawie  
ołówek  
III miejsce

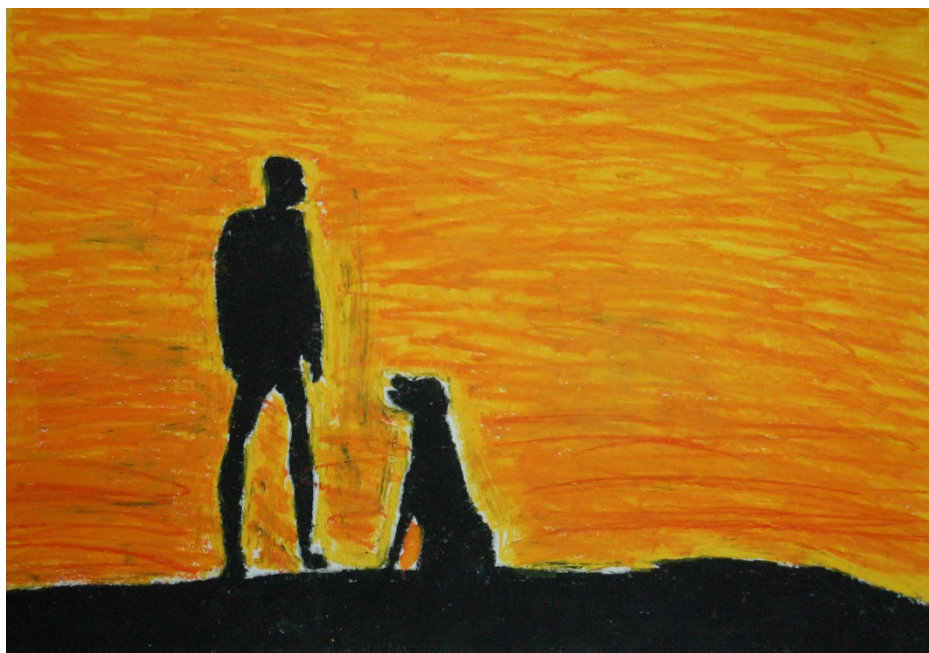


**Klaudia Sobierajska**

Szkoła Podstawowa nr 163 w Warszawie kredki ołówkowe,  
pastele suche  
Wyróżnienie



**Dominika Oknińska**  
Szkoła Podstawowa nr 48 w Warszawie  
kredki ołówkowe  
Wyróżnienie



**Michał Rudzki**

Szkoła Podstawowa nr 32 w Warszawie  
pastele olejne  
Wyróżnienie



**Tatiana Jaroszek**

Szkoła Podstawowa nr 203 w Warszawie

pastele olejne

Wyróżnienie



**Magdalena Halko**

Szkoła Podstawowa nr 203 w Warszawie  
wyklejanka  
Wyróżnienie





**Jan Walenta-Całà**

Szkoła Podstawowa nr 203 w Warszawie  
wyklejanka  
Wyróżnienie